

Paweł Paliwoda: Trzy gatunki wykształciucha

W Polsce i na świecie trwa wyścig transgresyjnych szczurów, które dokonują coraz to bardziej ekscentrycznych odkryć



W Polsce i na świecie trwa wyścig

transgresyjnych szczurów, które dokonują coraz to bardziej ekscentrycznych odkryć

Pojęcie wykształciucha wymyślił ponoć Aleksander Sołżenicyn (образованщина). Polski odpowiednik tego słowa - „wykształciuch” - zaproponował Roman Zimand. Określenie to pojawia się na ogół w trakcie sporów na temat definicji i społecznej roli inteligencji. Termin ten wyodrębnia ignorancką, egoistyczną, narcystyczną część ludzi wykształconych, którzy nie mają wiele wspólnego z tradycyjną polską inteligencją. Znany ze swoich "postępowych" sympatii profesor Jerzy Bralczyk zestawia genezę i semantykę „wykształciucha” z pojęciem „komuch”, użycie którego w jego środowisku uchodzi za kompromitujące. Posłużenie się „wykształciuchem” nie znaczy jednak wcale potępienia w czambuł wszystkich ludzi wykształconych i wszystkich inteligentów. A to właśnie sugerują przerażone

wykształciuchy, które nie wiedzą, jak przed tą znakomicie demaskującą kategorią się osłonić. Starają się więc zasugerować całej inteligencji, że kwalifikacja ta obejmuje nie tylko ich. Ot, klasyczne rżnięcie głupa, po którym wykształciuchy mianują siebie obrońcami polskiej inteligencji.

Dla mnie „wykształciuch” stanowi doskonałą przeciwwagę dla określenia „oszołom”, które rozpropagowała wśród wykształciuchów głównie „Gazeta Wyborcza”. Wykształciuch to budulec piramidy ideologicznej, na szczycie której sytuują się quasi-intelektualiści – Wykształciuchy Producenty - formułujący nakazy ideologicznej karności (political correctness), niższy poziom to znaczna część ludzi mediów: Wykształciuchy Kolporterzy - propagujący te idee na skalę masową, w uproszczonej i komunikatywnej formie, alarmując zarazem o przekroczeniach obowiązującego idiomu wyznaczonego przez poziom nadrzędny.

Podstawę piramidy stanowią osoby apirujące do rangi inteligenta, które poprzez pogardę wobec katolicyzmu oraz idei konserwatywnych podnoszą własną samoocenę. To Wykształciuchy Szeregowy, słabo zorientowane w sytuacji politycznej i kulturowej, ale tworzące publikę, która płaci za gazety i książki oraz oklaskuje programy telewizyjne, dzięki czemu prestiż i pieniądze stają się łupem wykształciuchów dwóch wyższych poziomów. Klasycznym tego przykładem jest znaczna część widzów programów typu - nazwijmy je tak zbiorczo - „Szkło Powiększające”, którzy dzwonią do telewizji, aby otrzymać nobilitującą pochwałę od prowadzących program.

To ich nagroda za manifestacyjną karność (nagrodą dla twórców i gości programu są wielotysięczne gaże). W serwilistycznym kontakcie z mediami Wykszałciuch Szeregowy rośnie. Buduje własną tożsamość i dobre samopoczucie. Tymczasem dwa górne poziomy sprawują funkcję nadzorczą-egzekutorską wobec społeczeństwa. Ustalają, kto powinien być ostracyzmowany, a kto lansowany w mediach, na uczelniach czy przy rozdawaniu grantów i prestiżowych nagród literackich.

Słowo o pojęciu „inteligencja”. Przywędrowało ono do nas również z Rosji. Określano tak ludzi różnego pochodzenia – szlachta, arystokracja, naukowcy, studenci – którzy w Rosji carskiej inicjowali ruchy modernizacyjne i wolnościowe. W sensie socjogenetycznym była to grupa trudno definiowalna właśnie z uwagi na heterogeniczność jej przedstawicieli i ich poglądów. Ludzi tych łączył etos nowoczesności i często poglądy antymonarchistyczne.

Opisową frazę, którą można by zastąpić ówczesne określenie „inteligent”, jest „światły umysł”. Nie da się i nigdy nie udało się komunistycznym socjologom (z których większość przetrwała na swoich stanowiskach do dzisiaj) opisać „inteligencji” w kategoriach doktryny marksistowskiej, z jej frazeologią klasowych interesów i podporządkowanej im egoistycznej ideologii, „fałszywej świadomości” itp.

W okresie komunistycznym, gdy klasa ludzi światłych została albo wymordowana – głównie w Sowietach - albo zrepresjonowana i zepchnięta na margines społeczeństwa (PRL), termin „inteligent” odgrywał w ideologii marksistowsko-leninowskiej funkcję protezy,

zapełniającej lukę w opisie społeczeństwa socjalistycznego. Jego skład to klasa robotnicza i chłopi (lub ich kołchoźniczy odpowiednik w Sowietach). Co zrobić z ludźmi wykształconymi na potrzeby komunizmu: artystami, pisarzami, przedstawicielami innych wolnych zawodów? Ta ostatnia grupa stanowiła superratę, z którą nie bardzo było wiadomo, co począć.

Ludzi tych nazwano więc „inteligencja pracująca” (należeli do niej także i działacz PZPR, i kierowniczka poczty, i księgową). Jeśli dziś jakiś były materialista historyczny wmawia nam, że wie, czym była i jest inteligencja, nie warto mu ufać. Bo inteligencja to ludzie mądrzy, światli i prawi. Nie ma i nie było nigdy takiej klasy społecznej (poza "Państwem" Platona) - nie ma i nie było instytucji, która automatycznie promowałaby samych inteligentów.

Dziś pojęcie „inteligencja” funkcjonuje jako termin w najwyższym stopniu wartościujący, stosowany często intuicyjnie dla wskazania osób światopoglądowo i aksjologicznie budzących sympatię liderów liberalnej lewicy i tworzących jej polityczne i finansowe zaplecze. Wszystkich tych ludzi łączy ideologia w deformujący sposób nawiązująca m.in. do idei niemieckiego filozofa Fryderyka Nietzschego. Dzisiejszy wykształciuch w groteskowy sposób pozuje na nietzscheańskiego Nadczłowieka.

Czy Katarzyna Kozyra, feministki, liderzy ugrupowań gejowskich, nieprzejednani pacyfiści, ekolodzy, obrońcy pornografii, "postępowi" dziennikarze i politycy czytali dzieła Fryderyka Nietzschego? Być może, niektórzy. Zdecydowana mniejszość. Tymczasem ich styl działania i

głoszona ideologia przypomina parodię myśli niemieckiego filozofa. „My” odkrywamy nowe światy, nowe formy wolności, nowe formy ekspresji, rządzenia, opisywania rzeczywistości.

To „my” widzimy głębiej i dalej. I to, co widzimy, wskazuje, że żadne ponadhistoryczne i powszechne normy etyczne nie istnieją. To „my” odsłaniamy kolejne, coraz głębsze pokłady irracjonalnego konserwatyizmu i zaściankowości, które tamują drogę rozwoju nowych prądów myślowych, artystycznych, ekonomicznych. „My” jesteśmy lepsi od przeciętnego Polaka. Jesteśmy ponad kościelnymi dogmatami i ludowymi mądrościami. Ponad zwodniczym zdrowym rozsądkiem.

W Polsce i na świecie trwa wyścig transgresyjnych szczerów, które dokonują coraz to bardziej ekscentrycznych odkryć. Przeżytkiem jest tradycyjna rodzina, związki heteroseksualne, podział społecznych ról na męskie i kobiece, system sądowniczy i więzienniczy, system edukacji, tradycyjne cnoty przyzwoitości i dobrego wychowania - jaskiniowa już kindersztuba, ograniczenia dotyczące pornografię i obscena w miejscach publicznych, pojęcie obrazy uczuć religijnych itd.

Kto wynajdzie i rozgłosi jakąś nową formę „antywolnościowej represji kulturowej”, zyskuje prestiż, pisze książki, otrzymuje tytuły i granty - w najgorszym razie dzwoni do „Szkła Powiększającego” (Wykszałciuchy Szeregowe). Renesans myśli Fryderyka Nietzschego, Zygmunta Freuda i różnych form marksizmu obserwujemy w liberalnych demokracjach co najmniej od połowy lat 60.

W końcu zjawisko to dotarło także do Polski. Ostatnio nawet - na zaproszenie gazety „Dziennik” - w Warszawie gościł zwolennik Stalina i dogmatycznego komunizmu – Slavoy Žižek. Ale w tej układance, jaką jest funkcjonowanie dużych społeczności świata zachodniego, pierwszeństwo w wywieraniu wpływu na umysły inteligencji przypisałbym Nietzsche. To właśnie małpowanie tego myśliciela, naśladowanie Nietzschego a rebours, ułatwia dziś karierę w mediach i na uniwersytetach, zabłyśnięcie w świecie intelektualistów czy postępowych artystów happenerów.

Na łamach „Tygodnika Powszechnego” Czesław Miłosz napisał kiedyś, że najbardziej poczytnym wśród studentów uniwersytetu w Berkeley filozofem jest Fryderyk Nietzsche, który połączył – albo zmieszał, jak kto woli – dwie fascynacje. Znalazł się pod przemożnym wpływem kultury i sztuki antycznej oraz teorii Karola Darwina. Niechęcią czy wręcz nienawiścią darzył tę część społeczeństwa, którą dzisiaj nazywamy „klasą średnią”, a którą w czasach Nietzschego określano mianem „burżuazja” (fr. bourgeois - „mieszczanin”).

Klasę tę postrzegał jako bezwładną i bezideową masę, która zagubiła klasyczne wartości sztuki i filozofii, wytwarzając równocześnie rodzaj immunologicznej hipokryzji. Każdy, kto kwestionuje merkantylną i leniwą intelektualnie mentalność mieszczaństwa, podlega społecznemu ostracyzmowi jako dekadent i socjopata. Zarazem zinstrumentalizowane chrześcijaństwo staje się ideologią konserwującą i stabilizującą porządek społeczny. Traci tym samym swoją istotną treść i przesłanie. Stąd twierdzenie Nietzschego o śmierci Boga.

Paradoksalnie krytyka Nietzschego miała w znacznej mierze charakter prawicowy - wycelowana była bowiem w nihilizm społeczeństwa bogacącego się i zabiegającego o komfort codziennego życia – w społeczeństwo masowe i egalitarne, wyzute z zaangażowanej i wzniosłej aksjologii. Postrzegał je jako narzędzie zwalczania każdej idei, która w jakikolwiek sposób przekształca status quo.

Tego rodzaju przekształcenie społeczeństwo egalitarne – zdaniem Nietzschego – postrzegać miało jako destabilizację niosącą groźbę całkowitej destrukcji ustalonego ładu. Tego typu zbiorowość nienawidzi i nie toleruje elitarności. Postawa arystokratyczna, rycerska są nie tylko obiektem zawiści, ale i zagrożeniem dla ustabilizowanej, nietwórczej, ale sytej miernoty.

Miernota skrupulatnie zatem pilnuje, aby wybitne jednostki nie mogły promować swoich idei. Masowa miernota tworzy kanon wartości i zachowań opartych na chrześcijaństwie i konsekwentnie zwalcza wszelkie formy transgresji tego modelu. Szczególną rolę w destrukcji skostniałej aksjologii społeczeństwa odgrywają artyści. Ludzie stanowiący elitę, która wrażliwością i intelektem przewyższa przeciętnego obywatela.

Obrazoburstwo artystycznej bohemy wobec zachowawczego konserwyzmu spełnia formę terapii. Odsłania nowe opcje myślowe i kanony estetyczne. Niszczy zasadę automatycznego dziedziczenia światopoglądu. Zachęca do samodzielnego poszukiwania prawdy o sobie i świecie.

Nadczłowiek Nietzschego nie miał być aroganckim egotykiem, ale kimś w rodzaju moralnego i estetycznego aktywisty-rewolucjonisty.

Posługując się językiem Leszka Kołakowskiego z eseju „*Kapłan i błazen*” (tu esej ten zachowuje jeszcze pewną opisową przydatność), powiedzielibyśmy, że nadczłowiek jest błaznem, rycerzem i artystą w jednej osobie. Nie bryluje na salonach. Nie jest snobem ani karierowiczem. Nadczłowiek kreuje nie tylko własne wartości, ale nową elitę (ową elitę Nietzsche postrzegał na kształt biologicznego gatunku, łącząc pod wpływem Darwina cechy moralne i intelektualne z biologicznymi). Stare, konserwatywne i obłudne elity, będące strażnikami ancien regime'u, stają się obiektem szyderstwa i drwiny. Są nędzną podróbką prawdziwej elity, wyłonioną w procesie demokratycznego głosowania. I w polityce, i w kulturze są wykwitem sprzyjania masowym gustom i dominującej w społeczeństwie zakłamaniej aksjologii.

Nadczłowiek Nietzschego jest od przeciętnego człowieka lepszy, bardziej wrażliwy, bardziej dostojsny. A któż nie chciałby zostać nadczłowiekiem, przynależć do rasy, która jest szczególnie predystynowana i uprawniona do rządzenia masami? Z pewnością nadludźmi chcieli być studenci, których uczył w Berkeley Czesław Miłosz.

Wspominam tu o teorii „rasy panów” i modzie na nietzscheanizm, wpisana jest ona bowiem w istotę wielu procesów społecznych, z którymi mamy dzisiaj do czynienia w Polsce i na świecie. Wpisana jest ona w mentalność wykształciucha, który zresztą o tym nie wie. Przeżuty i przetrawiony na humanistycznych wydziałach uniwersytetów, w kręgach postępowych twórców i publicystów

Nietzsche zostaje wypluty za pośrednictwem mass mediów i sensacyjnych książek na talerze niedowartościowanych snobów - w postaci atrakcyjnej oferty zmiany tożsamości.

Bez historycznych i filozoficznych studiów każdy wzbogacony handlowiec, właściciel zakładu fryzjerskiego czy absolwent socjologii może się bez trudu poczuć kimś lepszym od „moherowych beretów”. Wystarczy obrazić się na większość społeczeństwa, na Kościół katolicki, na „sowieckiego człowieka”. Stajemy się wtedy „umysłami krytycznymi”, które wyrastają ponad zacofane masy. Wytwarzamy sytuację bezpiecznego antagonizmu. Nie atakujemy bowiem swojego „ponowoczesnego otoczenia”, ale – jak mówiono za czasów Nietzschego – „tych strasznych mieszczan”.

Dziś owi „mieszczanie” to ludzie protestujący przeciw znieważaniu symboli religijnych, aborcji, eutanazji, pornografii, bezmyślnemu abolicjonizmowi czy – na razie ostrożnej, ale już widocznej - propagandzie i promocji pedofilii.

Osobiście nie życzę sobie, aby moje dziecko było w szkole poddawane lewicowo-liberalnej indoktrynacji na lekcjach wychowania seksualnego (czy nazbyt pospiesznie wprowadzanej obecnie do szkół filozofii), na których wykłady prowadzić będą aroganckie pannice, wytresowane w duchu pogardy dla tych, którzy wierzą w pozapsychologiczny świat, pozapsychologiczne (obiektywne) wartości i obiektywnie istniejącego Boga.

Modne i ekspansywne quasi-nauki: psychologia, psychologia społeczna, politologia, antropologia kulturowa (ta uprawiana przy biurku) czy socjologia rozdają wykształciuchom dyplomy nadczłowieczeństwa w postaci prawa do rekonstrukcji społecznej świadomości - w ten sposób, aby to oni znaleźli się na szczycie społecznej piramidy jako arbitrzy moralnej i intelektualnej elegancji. Jak pisał Paul Johnson, uniwersytety stały się dzisiaj kuźnią pogardy wobec przeciętnego, skromnego człowieka, hołdującego zwykłej przyzwoitości.

Z tego, co napisałem, śmieją się teraz ci, którzy nie pojęli do końca mocy słów-wytrychów. Ich niezwykłej mocy perswazyjnej. Stanowią one siedmiomilowe skrót myślowe, zastępują długie wywody, których ponowoczesna umysłowość nie trawi. Nie mogą być zwykłą inwektywą, ordynarnym sztychem pachnącym rynsztokiem. Muszą mieć urok bon motu, zachowywać leksykalną przyzwoitość.

I najważniejsze: przywoływać bolesne doświadczenie potoczne, które niełatwo się werbalizuje. Ciężko je rozplątać i wypowiedzieć. Słowa wytrychy załatwiają to jednym cięciem. Dobrze o tym wiedzą postępowcy, chociaż nigdy publicznie się do tego nie przyznają. Czas więc, aby ich oponenti zaczęli wykuwać i konserwować równie skuteczne środki perswazyjne.

Paweł Paliwoda